Nr. 32. Lwów dnia 7. Września 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 zlr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 zlr w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*" wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

Treść: Karczma. — Między niebem a ziemią, powieść przez *Michała Bałuckiego*. (C. d.) — Z ruin duszy, przez *Bronisława Zawadzkiego* (wiersz). — Ksiądz Hugo Kołłątaj i jego prześladowcy, szkic biograficzno-krytyczny przez *Henryka Schmitta*. (C. d.) — Garbus z Bononii, poemat wieków średnich, przez *Władysława Ordona*. (C. d.) — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez *Berlicza Sasa*. (C. d.) — Pitagoras, ustęp z dziejów Hellady, przez Dr. *Władysława Daisenberga*. (C. d.) — Przegląd literacki. —Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

KARCZMA.

II.

U nas jest jedna instytucya, bo tak ją trzeba nazwać, która dotąd tylko ku złemu służy, t. j. karczma, a która mogłaby stać się nader użyteczną...

Jak gromada tak i karczma u nas jest odwieczną; jest to naturalny, niezbędny dla społeczeństwa wiejskiego punkt zborny. Jeżeli wieś pierwej istniała, jak miasto, to i karczma nierównie starszą jest jak wszelkie miastowe resursy, kasyna, restauracye itp.

Jakikolwiek obrót weźmie w Galicyi sprawa propinacyi, zawsze karczma pozostanie karczmą — może tylko ich liczba się wzmoże a przez to współzawodnictwo, tak jak w mieście: kto lepiej publiczności usłuży, ten liczniejszych mieć będzie gości. Dopóki takiego współzawodnictwa nie ma, jest sposobność i łatwość do innego współzawodnictwa pomiędzy właścicielami karczem.

Hola, o cóż to idzie, czy o to kto taniej da wódkę? Bynajmniej, niechaj się nikt nie obawia zamachu na swoją kieszeń; posłuchajcie dalej, a zapewne się porozumiemy.

Karczma jest dzisiaj taką, jaką jest lud wiejski; to mu daje, czego on potrzebuje. Lud jest ciemny, na poły dziki, mieszka po większej części w drewnianych lub glinianych (na Rusi) norach, nazwanych poetycznie chatami, wędzi się w dymie wraz z bydlem. Oprócz niewielu wyjątków, potrzeby duszy ludzkiej zaspakaja religią zmysłową, politeistyczną, czcią obrazów, księży, zabobonami—a zresztą rządzi się tylko popędami wspólnymi człowiekowi z zwierzęty. Jedną jeszcze ludzką uczuwa potrzebę: obcowania towarzyskiego i w tym celu spieszy do karczmy. Jakież jest to obcowanie? Oto w izbie brudnej, śmierdzącej schodzi się lud na to, aby być ofiarą chytrości żyda arendarza. Ten spekuluje na wszelkie instynkta zwierzęce, na wszelką biedę ludu, on staje się jedynym pocieszycielem w wszelkich jego utrapieniach, nie żałuje wódki, nie odmawia kredytu, ułatwia go, wszystko przyjmuje w zastaw; lud się rozpija, zadłuża, zaniedbuje robotę, w biedzie i pijaństwie, wśród przekleństw i bijatyki podsyca w sobie bezustannie antispołeczne żądze i nienawiści.

Oto czem jest dzisiaj karczma.

Ale zdaje się, chcielibyśmy, żeby było inaczej, żeby lud był moralniejszy, oświeceńszy, mniej dziki, żeby się zwolna zbliżał do stanu obywatela. Byłoby z tem wszystkim lepiej, tak całemu krajowi, jak każdemu t. z. szlachcicowi. Podniósłby się dobrobyt powszechny, podniosłoby się gospodarstwo, podniósłby się poziom potrzeb ludu, podniosłaby się wartość i cena wszelkich płodów, każda wieś stawałaby się zwolna miejscowem ogniskiem ruchu ekonomicznego, wymiany i przerabiania płodów, ożywiłby się i ułatwił ogromnie targ na wszystkie przedmioty życia; a na tem wszystkiem zyskałby przedewszystkiem każdy obywatel większy, a sprawy wszelkie publiczne, gminne, powiatowe, krajowe inaczejby szły, inny byłby nasz front w obec wszelkich nieprzyjaciół...

Więc nie przez ofiarność, nie z samego patryotyzmu (chociaż i to nie byłoby grzechem), lecz w własnym interesie swoim i swoich dzieci wartoby zacząć się starać, aby jakoś było lepiej.

Trudno trafić do ludu, bo jest nieufny i bojaźliwy—takim zrobiły go wieki i stosunki—więc chciejmy trafić do niego na tej drodze, na której on sam już chodzi, więc między innemi chciejmy trafić do niego przez karczmę.

Nie tak trudno, tylko trochę dobrej woli. Zależy to prostu od warunków, na jakich się karczma wydzierżawia a reszta sama się znajdzie.

Więc niechaj arendarz będzie obowiązany karczmę, którę powinien odebrać czystą, utrzymywać czysto, niechaj obok wódki w zimę i słotę obowiązanym będzie dostarczać grzanego piwa; niechaj w zimie obowiązanym będzie mieć zawsze samowar i dostarczać herbaty (może być po 3 ct. szklanka), n. b. jeżeli to z propinacyą nie koliduje gwałtownie. Piwo i herbata wprowadzone obok wódki są sprężynami cywilizacyi, są to środki przeciw pijaństwu i bijatyce, przeciw kryminalnym prawom o gwałty.

A dalej niechaj arendarz obowiązanym będzie utrzymywać w porządku gazety dla ludu. To bagatelę kosztuje, proszę państwa! *Zagroda*, *Włościanin*, *Dzwonek*, *Przyjaciel domowy*, *Przyjaciel ludu* kosztują po 2 lub

3 złr. na rok. któryż właściciel karczmy śmie powiedzieć, że go nie stać na to?

Niechaj tylko w karczmie umniejszą się pijatyki i bijatyki, a pogadanka gości przybierze inną postać, mimowoli sięgną oni po gazetę, ktoś będzie głośno czytać — o nowych ustawach, o podatkach, o gospodarstwie, o sejmie, co w świecie się dzieje, o ulepszeniach, o budowie chat...

Sprawy te nie mogą ludu nie obchodzić; to przeciwne naturze ludzkiej. A jak raz się nazwyczają słuchać o tem i gawędzić, to niezadługo stanie się to potrzebą.

I stawać się będzie zwolna towarzystwo ludu takiem, że ucywilizowany człowiek będzie mógł z nim przestawać. Bo teraz, czyliż lud obcuje z kim, czyj wpływ mógłby nań oddziaływać? Niechno zaś do takiej karczmy przyszłości zajrzy niekiedy i ktoś z dworu, i ksiądz i nauczyciel na pogadankę, na szklankę herbaty, na gazetę — nie będzie to sztuczne zbliżenie, ale naturalne — tak jak w miastach w resursie. Narzekają nieraz mieszkańcy wsi na nudy — otóż macie pod ręką sposób, żeby chwile tych nudów przyjemnie i pożytecznie zapełnić. Bo idźmy dalej. Jeżeli można bez trudu i ofiar urządzić to, co wyżej już powiedziano, to nie będzie trudno ulokować w karczmie czytelnię ludową. Niechaj ona tam ma swoją szafę, a niech nią zarządza ktoś z gromady umiejący czytać, albo sam wójt, albo nauczyciel; niechaj pożycza książki do domu, albo też do czytania w karczmie, a spisy książek niechaj leżą na stole obok gazet. Nie wszędzie jest szkoła i nie wszędzie jest kościół, ale karczma jest w każdej wsi i w każdej mogłaby być czytelnia.

A gdy pójdą rzeczy tą drogą, to gdzież jest właściwsze miejsce na zebranie w sprawach publicznych, na odczyty, jeżeli nie w takiej karczmie. Oddziały tow. pedagogicznego, wędrowni nauczyciele będą mieli wtedy przysposobiony grunt. Nie trzeba szukać ludu, żeby słuchał, ani go zwoływać, bo on tam już jest. Oczywiście od razu to nie będzie — ale sprobujmy, zaglądajmy do karczmy, przyzwyczajajmy lud do czystości, do trzeźwości, oswajajmy go z widokiem ludzi nie w siermięgę ubranych. Do dworu on nie pójdzie, zresztą wołanie go do dworu chybia celu—ale schodźmy się razem z nim tam, gdzie wszyscy są zarówno u siebie, bo w miejscu publicznem, a zobaczymy, czy to pó dzie?!

Powie ktoś, że trudno przeprowadzić te rzeczy przez arendarzów, żydów. Ba, to nie bierzcie żydów—a zresztą zdaje się, że zarzut niezbyt słuszny. Żyd, arendarz nic na tych przemianach nie straci, bo i jemu lepiej będzie w pośród ucywilizowanej wsi, której dobrobyt będzie wzrastał. Żyd pozna się na tem odrazu, a nawet na niego i na jego dzieci przemiany te muszą oddziałać. A przytem nie wymaga się od niego nic ciężkiego. Podejmie on się wszystkiego — nawet dobrego, jeżeli to będzie dla niego stanowczym warunkiem utrzymania się przy karczmie.

Otóż jest sposobność, aby przez karczmę stworzyć sobie na wsi ucywilizowane towarzystwo — a że zatem idzie wszelkie dalsze błogosławieństwo, wszelkie ułatwienie dobrobytu i dobrego porozumienia — któżby mógł nie uznawać?

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ewa nie należała do eterycznych istot, trzymając ją w objęciach Adam nie mógł nie czuć jej; bujne i rozkoszne jej kształty miękko i powabnie oparły się na jego piersi i muszkułach ręki. Ciepło jej ciała, zapach włosów, falująca pierś — wszystko to działało silnie na umysł jego, był upojonym, odurzonym. Przytulił ją namiętnie ku sobie i puścił się z nią w taniec. Już dawno Stasia z Zygmuntem usiedli pomęczeni na ganku, on jeszcze tańczył, tak mu żal było rozstawać się z Ewą. Aż mu przypomnieć musiała, że jest zmęczoną. Wtedy dopiero zatrzymał się i podał jej ramię, by ją odprowadzić na ganek.

— Nie myślałam, że pan taki zapalony tancerz — rzekła opierając się dość silnie na jego ramieniu, w czem ją usprawiedliwiało zmęczenie.

— Dlaczego? — spytał Adam.

— Myślałam, że pan jesteś flegmatyk. Dziś przekonałam się, że pan tylko udajesz takiego. Zaczynam mieć lepsze o panu mniemanie, bo nie cierpię ludzi o zimnej, rybiej krwi. A lubię tych, co się umieją zapomnieć.

— A pani, czy umiesz to?

— Domyśl się pan.

Roześmiała się, spojrzała mu głęboko w oczy i odbiegła w stronę kuchni. Adam poszedł na ganek.

— Ach, jakiż ty zgrzany, zmęczony! — rzekła Stasia patrząc na niego z troskliwością. Wzrok jej w tej chwili zawadzał mu, odwrócił się, poszedł o kilka kroków dalej i usiadł. Potrzebował być sam ze sobą.

Major rozochociwszy ludzi zostawił ich samym sobie, by się swobodniej bawić mogli, a sam z gośćmi przeszedł do pokoju, gdzie już podano obiad. Matkę Stasi usadowiono na pierwszem miejscu, major usiadł w końcu stołu vis a vis niej. Adama posadziła Ewa obok Stasi, a sama usiadła przy Zygmuncie. Rozmowa była bardzo ożywiona. Major dowcipkował, że nieraz matce Stasi aż łzy w oczach stawały od śmiechu; nawet Zygmunt ucieszony niezwykłą dobrocią Ewy i tem, że kazała mu usiąść przy sobie, był wesół i rozmowny jak rzadko. Dochodzące z podwórza wesołe okrzyki i muzyka były doskonałem tłem dla ożywionej rozmowy jedzących.

Podczas dłuższej przerwy między jedną a drugą potrawą Stasia zrobiła parę galeczek z chleba i podając je Ewie na talerzu, rzekła:

— Wybieraj.

Ewa wyciągnęła rękę i patrząc na Adama rzekła znacząco i z naciskiem:

— Wybrałam.

— No, którąż kuleczkę?

— Nie na talerzu, ale w myślach... i nie z tych, które ty mi podajesz. Nie lubię wybierać z tych, których mi narzucają.

— I któż to taki, czy wolno wiedzieć nazwisko jego? — spytała Stasia.

— To sekret.
— O którym się jednak kiedyś dowiemy.
— Wątpię.
— Więc może nawet ów wybrany nie wie o swojem szczęściu?
— Jeżeli się nie domyślił, to już jego wina.
Adam spuścił oczy i widelcem kreślił jakieś figury po talerzu. Zygmunt patrzał na Ewę wzrokiem wyrażającym wdzięczność i czułość, niewyraźne jej oświadczenie zastosował do siebie. Dzisiejsza życzliwość Ewy względem niego ośmielała go do tego przypuszczenia. Ewa spostrzegła to i lekki uśmiech ironiczny przeleciał po jej ustach.
— Panie Zygmuncie — rzekła — nalej mi pan szklankę wody.
Zygmunt się zerwał i w pospiechu nalewając rozlał wodę na obrus. Ewa roześmiała się i rzekła:
— Dobrze, że pan nie należysz do tych wybranych przezemnie, bo za tę niezręczność dostałbyś pan dymisyę.
Zygmunt zmarszczył brwi i usiadł zachmurzony. Przycinek Ewy był zbyt wyraźny, by go miał nie zrozumieć. Do końca obiadu siedział posępny i milczący. Ewa jeszcze raz przez ten czas zakłóła go dotkliwie. Kiedy bowiem zgadało się o gustach, rzekła: że ideałem jej był zawsze brunet.
— Blondynów nie lubię — rzekła, krzywiąc się.
Zygmunt był blondyn.
— Dlaczego? — spytała Stasia.
— Bo są wodniści i bez energii.
Naraz, jakby sobie przypomniała, zwróciła się do Zygmunta i rzekła:
— A, przepraszam, zapomniałam, że pan blondyn. Mówiłam w ogóle; pan może stanowić wyjątek.
— Nie, pani, nie chcę się wyłączać od ogólnej reguły. Przyznaję się do wszystkich wad blondynów.
— Brunet czy blondyn, to nic nie znaczy — zakonkludował major. — Znałem ja blondyna z takim ogniem, z taką energią, że to, panie! istna siarka. To też przypłacił to życiem. Pamiętam; było to w Dębowej woli. Staliśmy tam kwaterą czas dłuższy; mój blondynek zakochał się w córce dziedzica, panienka także nie była od tego i słodkie oczka do niego robiła. Ale wtem zjawia się jakiś fircyk z Warszawy, markiz czy baron, protegowany przez mamę. Panna z początku krzywo na niego patrzy; ale powoli, powoli, jak jej zaczął nadskakiwać, paplać francuzkie komplementa, tak ją i ujął sobie i mój blondynek poszedł w kąt, w odstawkę. Śmieliśmy się wszyscy z niego, bo w pułku wiedziano dobrze o tym całym romansie; namawialiśmy go, że powinien fircyka przez kij lub szablę przesadzić. Blondynek nic na nasze przycinki nie odpowiadał; tylko wąsa kręcił, a oczy mu niespokojnie biegały na wszystkie strony. Aż jednego rana dowiadujemy się, że ta cała historya wzięła gorszy koniec, niż przypuszczaliśmy. Wyobraźcie sobie, że nasz blondyn nic więcej nie zrobił, tylko sobie w łeb strzelił i pannie.
— Dlaczegoż nie rywalowi? — odezwała się z oburzeniem Ewa.
— A Bóg go wie! My tak samo się dziwili.
— A ja się nie dziwię — rzekł Zygmunt — rywal nie był tu nic winien; tylko panna.
— Panna? — spytała Ewa.
— Śmierć rywala nie dawała żadnej pewności owemu panu, zabiwszy jednego mógł się ich spodziewać stu, dla których panna równie go porzucić mogła.
— A jeżeli go nie kochała? — mówiła znowu Ewa z ogniem.
— Wszak podobno go kochała, tak pan major mówił.
— Tak nam się wszystkim zdawało.
— Mogła była zmienić gust.
Zygmunt na ten argument roześmiał się zimno.
— To nie obrona, pani. Miłość nie jest zabawką, ale obowiązkiem. A cóżby była zrobiła ta pani, gdyby to już było po ślubie?
— Po ślubie... to inna rzecz.
— Czyż słowo dane nie w kościele ma mniej obowiązywać?
— Ach, pan traktujesz miłość, jak pańszczyznę. Słuchając pana, można sobie zbrzydzić miłość. Żałuję tej, którę pan zaszczycisz kiedy swoją miłością.
Zygmunt ruszył się niespokojnie; oczy jego zaiskrzyły się dziko, jakby przez nie błyskawica przeleciała. Szczęściem nikt nie zauważył tego ruchu. Stasia spojrzeniem usiłowała dać znak Ewie, by nie dręczyła tak biednego Zygmunta.
Niedługo potem skończył się obiad. Ewa zabrała znowu panie do swego pokoju; panom podano kawę czarną na ganek. Major zapaliwszy fajeczkę zeszedł do ludzi pogawędzić trochę. Na balkonie został Zygmunt z Adamem.
— Więc to jest owa Stasia? — spytał Zygmunt — do której pisywałem ci sonety?
— Tak — odrzekł Adam nieco chłodno i obojętnie.
— Zazdroszczę ci takiego skarbu. Z tą kobietą na pewne można ci wróżyć szczęśliwe pożycie. Ileż tam łagodności i dobroci serca. Miłość takiej kobiety musi być balsamem dla duszy. Dlaczegoż ja nie trafiłem na taką!
— Wszak jeszcze trafić możesz.
— Czy drwisz? Dla mnie już nie ma wyboru. Ta, albo żadna. Zbyt wiele zapłaciłem za tę miłość, bym mógł się jej wyrzec. Wiem, że najgorzej umieściłem moje uczucia; ale to darmo... to już takie moje przeznaczenie. Marnotrawstwo było familijną naszą wadą. Ja nie mam co marnować i zmarnowałem uczucie. Kapitał serca rzuciłem na najryzykowniejszą grę, wszystko mi mówi, że się rujnuję napewno; jednak cofnąć się nie chcę. Widziałeś ją, przysłuchałeś się dziś trochę, masz wyobrażenie, co to za kobieta, jak umie szarpać i męczyć. A takie życie, to piekło prawdziwe. Nigdy spokoju, nigdy pewności. Oh! czuję, że mnie to strawi.
— Ja sądzę, że najgorsza pewność byłaby lepszą od tego stanu, w jakim się teraz znajdujesz. Gdybyś raz stanowczo ją zapytał?
— Myślę właśnie o tem. Ale tak z golemi rękami nie można; muszę mieć coś pewnego. Zdecydowałem się przypuścić ostatni szturm do ciotki o pożyczkę. Jeżeli odmówi, zapożyczę od żydów, sprzedam im za bądź co wszystkie moje nadzieje spadkobierstwa, byle mieć jaki taki kapitał w ręce, z którego mógłbym utrzymać i ją i siebie.
— Czy major nic nie ma?
— Gorzej niż nic, bo ma długi. Żyje bez oglądania się na jutro, bez myśli, co się z nią stanie. Moim więc obowiązkiem myśleć o tem. Trzeba raz zacząć działać na seryo. Dotąd bawiłem się marzeniami.
Gdy to mówił Ewa ukazała się na balkonie. Przyszła zaproponować im, czyby nie chcieli przejść się z paniami po ogrodzie. Zobaczywszy ich zajętych żywą rozmową, spojrzała przenikliwie na Zygmunta i spytała:
— O czemże rozmowa? Może nie w porę przyszłam i przerwałam? Może pan Zygmunt daje Adamowi jakie objaśnienia i rady?

— Nie, pani, tym razem rady tyczyły się mnie samego.

— I czy wolno wiedzieć coś pan sobie doradził?

— O tem dowie się pani wkrótce.

— Umiem być cierpliwą. A teraz proszę panów.

Zaprowadziła ich na drugą stronę domu do ogrodu, gdzie Stasia z matką czekała na nich. Wszyscy razem poszli w głąb ogrodu... Był to raczej park olbrzymi teraz zaniedbany i zdziczały, niemniej przeto piękny i pełen rozmaitości, uroczych miejsc. Aleje z czasem zamieniły się w ciemne tunele, tak gęsto liściami zarosły od góry, z czego utworzyło się sklepienie, przez które żaden promień słoneczny nie zdołał się przedrzeć. Rzucane przez brzozy nasiona dziś już utworzyły piękny przejrzysty lasek brzozowy drgający w słońcu drobnymi listkami, jak złotemi blaszkami; gazony zamieniły się w bujne łąki a miejsca ścieżki tak zarosły trawą i krzakami, że w niektórych miejscach tworzyły zielone zapory nie do przebycia prawie.

Ewa wśród tych labiryntów chodziła śmiało i pewnie, znała tu każde przejście, każdą piękniejszą ustroń i trzymając za rękę Stasię prowadziła ją ze sobą. Matka z Adamem i Zygmuntem postępowała za niemi.

Stasia nie mogła ukryć pewnej trwogi, jaką w niej budziły te ponure aleje i gąszcze i rzekła do Ewy:

— Wiesz co, moja droga, jabym się tu bała sama iść w te miejsca.

Ewa roześmiała się serdecznie.

— To nie teraz — rzekła — ale wieczór, kiedy ciemność nadaje jeszcze więcej dzikości tym miejscom, a księżyc oświeci tu i owdzie aleje i promienie jego, że jakby duchy chodzą po tych gąszczach—wtedy dopiero rozkosz tu chodzić.

— I nie boisz się chodzić tu wtedy?

— Czego?

— Zawsze to jednak straszne robi wrażenie.

— Owszem, ja to lubię, zdaje mi się wtedy, że jestem w jakim zaczarowanym zamku zaklętą księżniczką, że z za krzaków zjawi się jaki król lub książe, który mnie oswobodzi z tych miejsc i powiedzie do jakiej stolicy.

— Nie myślałem, że pani taka marzycielka — odezwał się Adam, który idąc niedaleko za niemi przysłuchiwał się ich rozmowie.

Ewa zwróciła się ku niemu i patrząc mu bystro w oczy odrzekła:

— Nie jest to marzycielstwo, jast to raczej łudzenie się z konieczności. Kto ma lichą obecność, musi ją sobie łatać jak może. Gdybym miała pałace przestałabym marzyć już o nich.

— Ciekawy byłbym widzieć panią przebiegającą te gęstwiny i zarośla przy blasku księżyca. Musi to być bardzo urocze zjawisko.

— Spytaj się pan pana Zygmunta, on pana objaśni jak to wygląda, do czego jestem wtedy podobna?

— Do dziwożony — odrzekł Zygmunt z jałowym uśmiechem.

— Widzisz więc pan, że widok niezbyt ponętny.

— Owszem; tylko niebezpieczny.

— Dlaczego?

— Dziwożony uwodzą nocnych marzycieli na bezdroża.

— W takim razie pan Zygmunt całkiem niewłaściwego użył porównania, bo ja tylko uciekam przed nim — rzekła zdziwiona trochę, nie mogąc strawić porównania.

— Ewuniu! — upomniała ją po cichu Stasia.

— Co takiego?

— Za ostro mówisz do niego. Gotów się obrazić.

— Ach, daj to Boże. Skorzystałabym tylko na tem, nie nudziłby mnie tyle.

Rozmowę tę prowadziły półgłosem, że idący za niemi panowie słyszyć jej nie mogli; mimo to Stasia z przestrachem obejrzała się, tak się bała biedaczka, by Zygmunt z gestu nie domyślił się treści rozmowy. Ale Zygmunt opowiadał właśnie coś jej matce. To ją uspokoiło.

Byli właśnie na brzegu lasku brzozowego. Stasia odetchnęła tu swobodniej.

— Ach, jak tu dobrze, słonecznie, ciepło — rzekła — usiądźmy tu trochę.

— Ty lubisz taką cichą sielankę — rzekła Ewa oparłszy się o drzewo i patrząc na Stasię siadającą na ziemi. — Stworzonaś do cichego życia.

— A ty?

— Ja lubię burzę i ciemności... w ogóle wszystko, co niepewne jeszcze, co zakryte, bo wtedy wszystkiego spodziewać się mogę.

— Czy tak dużo pragniesz od losu?

— O! bardzo wiele, moja droga.

— A jeżeli ci się to życzenie spełni?

— Czekanie samo już jest szczęściem. Wolę czekać na coś wielkiego i nie doczekać się, niż poprzestać na małem. Nam kobietom wolno wszystkiego się spodziewać, mężczyznom wolno sobie wszystko zdobywać. Dlatego nie rozumiem mężczyzny, który mogąc chcieć wiele, przestaje na małem. Jest to brak odwagi. Gdybym była mężczyzną, musiałabym dojść bardzo wysoko. Jestem pewna, że pan Adam zgodziłby się na moje zdanie.

— Wątpię.

— Zobaczymy. Otóż idą. Spytam go się Panie Adamie, jest tu spór o pana: co pan wolisz burzę czy spokój?

— Nie miałem burz w życiu — odrzekł skromnie.

— Pan? artysta? To mnie dziwi. Ja myślałam, że nie można być wiernym tłumaczem uczuć ludzkich, skoro się ich nie zna z doświadczenia. Więc malujecie panowie rysy z natury, a uczucia z pamięci... to dziwne.

— Instynkt zastępuje tu doświadczenie. Zresztą studyujemy uczucia na drugich.

— Na drugich? I jakież byś pan w tej chwili mnie dał uczucie?

— Pani jesteś dla mnie nieczytelną.

— Bo pan umiesz czytać tylko na jednej książce.

Stasia zarumieniła się i spojrzała na matkę—a ta odpowiedziała jej wzrokiem pełnym miłości i zadowolenia.

— Oj, trzepałkowska z Ewuni — rzekła chcąc przerwać milczenie, jakie zapanowało po ostatnich słowach Ewy. — Dobrze ojciec twój powiada, że ciebie nikt nie przegada i zawsze twoje musi być na wierzchu.

W tej chwili odezwał się od strony domu donośny głos majora „hop, hop!“

— Major szuka nas jak w lesie — rzekła matka Stasi śmiejąc się. — Odpowiedźcież mu panowie.

Adam odpowiedział majorowi i niezadługo ten złączył się z towarzystwem. Przeszli wszyscy po nad staw, na którym były dwie łodzie. Ewa zaproponowała przejażdżkę po wodzie. Stasia lubo bała się pływać, jednak zgodziła się na to. Lękliwie i nieśmiało wchodziła do łodzi oparta na ręku Adama, który wprowadziwszy ją i usadowiwszy na ławeczce, chciał usiąść obok niej.

Ale Ewa zatrzymała go pytaniem.

— Czy pan umiesz wiosłować?

— Wszystko, tylko nie to.

— W takim razie przejdź pan do mojej łodzi, a pan Zygmunt usiądzie ze Stasią.

Zygmunt, który już był na łódce Ewy, wysiadł choć nie z wielką chęcią i przeszedł do Stasi. Adam usiadł przy Ewie. Ta szybko odepchnęła łódź od brzegu i popłynęli na środek stanu. Starzy państwo zostali na brzegu na ławeczce pod kasztanami.

(C. d. n.)

Z RUIN DUSZY.

Są grzbiety stromych gór, podarte w strzępy
I rzucone na błękit, jak obelisk smutku,
Są w biodrach nagich drzew tęskniące sępy,
By wstęgę swoich dni usmętnić krótką,
Pożarciem zabłąkanych ptasząt na lazurze...
Są duchy pełne łez, stargane w życiu,
Do rozpękniętych łon pragnące tulić róże
I więżące krzyk serca w ust niemem spowiciu,
Duchy złamane przez burze,
Choć rozkochane w życiu!...

One czasem do zimnych marmurów przypadną,
A czasem idą pieścić aż kurhan cmentarny,
Złudzeni, że z posągów tych miłość wykradną,
Albo dotknięciem przerwą sen grobowców marny!

Na twarzy ich się pali wiązanka płomieni,
Co pierś nurtują,
A z drżenia tych Ossyańskich rozpoznasz półcieni,
Jak głazy c z u j ą!

Znałem jednego... Blady był, marzący,
Jak owionięta gwiazda mgły oponą,
Raz go widziałem — duchem był klęczący,
Niby artysta przed białą Madonną,
U stóp schylonej po nad nim kobiety...
Z fiołków i śrebrnych łez miała przepaski
Nad smukłym łukiem pogodnego czoła,
A by podwoić łona śnieżne blaski,
Dwie róże były wplecione w gorsety,
Które jej kibić objęły dokoła.

Kochał ją — dłonie złączyli gorące,
Jako się łączą dwie strugi eterów,
I na jej łono złożył usta drżące,
Łowić zeń echo falujących szmerów;
Potem się splątał pocałunkiem z różą —
Ale wnet opadł, jak listek odwiany
Nagle od krzaka ojczystego, burzą —
Kobieta struła ów kwiatek różany...

Bronisław Zawadzki.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby Siemieński raczył był uwzględnić wszystkie te okoliczności, nie byłby tak błahej przyczynie, jak sancyta z 14 Maja i 16 Czerwca 1793 roku przypisał wzięcie w pilną robotę książki rzeczonej, czem nietyle Kołłątaja ile tych właśnie srogą dotknął obelgą, których w innem miejscu swej przedmowy nazywa szczerymi i prawdziwymi patryotami. Myśl wydania kiedyś takiej książki zaprzątała niewątpliwie patryotów, którzy poczuwali się przecież do obowiązku zdania narodowi sprawy z swych czynności w sejmie. Tej myśli mógł się nawet doczytać w zbiorze listów, który sam uskutecznił. I tak powiada Kołłątaj w liście do Naruszewicza, pisanym z Krzeslawic 1 Sierpnia 1792 (str. 4 T. I): „Jeżeli mi JWPan chcesz co napisać od króla i z swych własnych wiadomości, oddaj list JW. Strasserowi, a dojdzie mię niezawodnie. Co zaś najwięcej mię interesuje, jest: abym wiedział, czyli będą się robić po innych województwach konfederacye w asystencyi Moskwy? czy król wyda uniwersały na sejmiki? kiedy sejm będzie i jak długo? gdzie go zechcą złożyć, w Grodnie czy Warszawie? co myślą utrzymać z dzieł naszych a co uchylić? jak się zanosi ze strony Moskwy na postępki z tymi, których mają za hersztów roboty naszej, w liczbie których i mnie zapewne kłaść będą? Wszak to godzi się wiedzieć, choćby i króla mojem imieniem upraszać. Wierność moja warta jest tej otwartości, bo to regulować mię będzie w pracy tej, o której mi JWPan przy pożegnaniu mówiłeś, a do której ja już zacząłem notować sobie niektóre dobre myśli.“ W liście zaś do Stan. Potockiego pisze 19 Sierpnia 1792 (str. 18 T. I): „Nie piszę osobnego listu do JW. Marszałka (Potockiego Ign.), ale upraszam JWPana, abyś mu najszczerszy z mej strony oświadczył ukłon, abyś go upraszał o przysłanie mi słowo w słowo rozmowy jego z królem przy złożeniu marszałkostwa, bo właśnie teraz się zatrudniam opisaniem dni trzech, t. j. 21, 22 i 23 Lipca. Źle tego nie użyję, zaręczam na moją przyjaźń i wdzięczność, jakie JW. Marszałkowi od dawna winien jestem. Komunikuję Panom wiadomości, które tu w Szlązku złapałem, że podział Polski ułożony od pięciu miesięcy.“ W listach pisanych we Wrześniu i Październiku 1792 do Szczurowskiego żąda przysłania książek i rękopisów swoich, co także świadczy, że się wtedy zajmował układaniem dzieła, w którem zamierzał opisać wypadki ostatnich lat czterech.

Z przytoczonych wyjątków widać, że pierwotnie sam Kołłątaj miał napisać dzieje sejmu czteroletniego. Później zgodzono się na to, by celem prędszego uskutecznienia tej pracy podzielić ją między siebie, a kto do niej wchodził, wykazałem już poprzednio. Opisanie nawet owych trzech dni, o którem wspomina Kołłątaj w liście do Stan. Potockiego, przydzielono temuż a nie jemu. Zdaje się zresztą rzeczą niewątpliwą, że pracę tę dlatego głównie rozebrano między siebie, aby ją przyspieszyć, co znów jest wskazówką, że po wkroczeniu Prusaków i wypowiedzianym jawnie przez Moskwę i Prusy w o ś w i a d c z e n i u z 9 K w i e t n i a 1793 zamiarze nowego zaboru dzierżaw polskich uznano niezbędną potrzebę co prędszego ogłoszenia jej drukiem, aby oświecić publiczną opinię w kraju i za granicą i wykryć oraz,

na kogo spada odpowiedzialność za świeże nieszczęścia, które dotknęły ojczyznę.

Nie tu miejsce wchodzić w krytyczny rozbiór tej książki, która w swoim czasie tyle miała rozgłosu. Z natury swej nie była ona dziełem historycznem w prawdziwem wyrazu tego znaczeniu, ale raczej pracą publicystyczną, która tem samem jako utwór z pewną wybitną tendencyą musiała popaść w stronność, nieuniknioną we wszystkich zapasach stronnictw politycznych. Pozostanie ona zawsze cennym materyałem do dziejów owego czasu, lecz nie uchodziło nigdy za jedyne doń źródło, jak błędnie mniema Siemieński.

Twierdzenie zaś jego, jakoby ta książka nie mało się przyczyniła do zaszczepienia wewnętrznej w narodzie waśni, której echo dotąd się odzywa, jest niedorzecznem. Cóż bowiem jako dzieło historyczno-publicystyczne zawiera w sobie? Oto opis mniej lub więcej wyczerpujący wszystkiego, co się działo w Polsce począwszy od zwołania sejmu czteroletniego w r. 1788 aż do zamknięcia sejmu grodzieńskiego w Listopadzie r. 1793. Zgodziwszy się nawet z Siemieńskim, że jej autorowie chcąc przygotować umysły do ukartowanego wybuchu, poruszyli w niej wszelkie namiętności przeciw partyi tryumfującej, a dopuszczając się w przedstawieniu wypadków stronniczości, umieli zręcznie osłonić grube błędy konstytucyonistów, aby całą odpowiedzialność zwalić na przeciwników a mianowicie na Stan. Augusta: wolno go wzajem zapytać, czy opowiadając w niej zdarzenia współczesne, a zatem znane powszechności narodowej, byliby potrafili przyczynić się do zaszczepienia waśni wewnętrznej w narodzie, gdyby fakta rzeczywiste nie były już utworzyły przepaści, oddzielającej na zawsze Targowiczan skalanych zbrodnią wspólnictwa z Moskwą w pognębieniu ojczyzny, od reszty narodu? Nie przeczę, że konstytucyoniści, którym jako ludziom Opatrzność nie udzieliła daru nieomylności, mogli się dopuścić wielu pomyłek a nawet grubych błędów; lecz z drugiej strony nie zdoła podobno i sam Siemieński zaprzeczyć, że ich stronnictwo, do którego należeli najzacniejsi i pełni poświęcenia patryoci, szczerze pragnęło dobra ojczyzny i sumiennie pracowało wsród danych okoliczności nad ubezpieczeniem jej bytu, całości, godności i niepodległości, czego o przeciwnikach jego żadną nie można powiedzieć miarą.

Nie była to zatem waśń zręcznie wywołana, do której zaszczepienia mogłaby się przyczynić książka zręcznie napisana, a co więcej, waśń ta nie wynikała nawet ze sporu dwu stronnictw walczących z sobą czy to o przewagę wpływu czy też o zasady, lecz była koniecznem następstwem rozbicia narodu na dwa nieprzyjacielskie obozy, z których jeden złożony z ogromnie przeważającej większości tegoż walczył o całość i niepodległość ojczyzny, a drugi złożony z garstki wyrodków chciał w spółce z Moskwą wtłoczyć na nią dlatego głównie jarzmo zawisłości, aby dogodzić swej zemście i zapewnic sobie panowanie pod zwierzchnictwem moskiewskiem. Że patryoci nie pragnęli zaszczepienia waśni, dowodzi najlepiej postępowanie ich tak zaraz po uchwaleniu ustawy rządowej 3 Maja, jak również wówczas, gdy Targowiczanie dzięki pomocy moskiewskiej zupełnym cieszyli się tryumfem. W pierwszym bowiem peryodzie nie powodowali się ani zemstą ani nienawiścią ku inaczej myślącym, ale najłagodniejszymi środkami starali się przygarnąć ich do siebie, a dziś możnaby ich raczej winić o zbytnią wyrozumiałość i łagodność, niż o surowość. W drugim zaś uchylając się przed prześladowaniem za granicę, obowiązali się wzajemnie uroczystem słowem, że nie będą tworzyć osobnej partyi w kraju ani szukać pomocy u dworów europejskich, aby w tak krytycznej chwili nie rozdwajać narodu a sąsiadom nie nastręczać dogodnego pozoru do nowego podziału Polski. I teraz więc nie myśleli o zaszczepianiu wewnętrznej waśni, chociaż boleć musieli nad zniszczeniem dzieła swego, którem chcieli ocalić ojczyznę. Oświadczali się nawet z gotowością podania ręki do zgody przeciwnikom, byle przynajmniej utrzymać całość ojczyzny.

Posłuchajmy, co o tem wszystkiem pisze Kołłątaj 9 Lutego 1793 w liście do Strassera, w którym (str. 10 T. II) powiada: „Co to za ślepe zaufanie Targowickich, którzy mniemali, jakoby postrachy o wkroczeniu króla pruskiego miały brać swój początek z Lipska, jakoby my tych postrachów używali na utrzymanie przychylnych umysłów do konstytucyi 3 Maja. O gdyby oni mogli odczytać wszystkie listy moje do WPana pisywane, przekonaliby się, że wczesne postrzeżenia, o których ostrzegałem, pochodziły ze szczerej chęci ratowania nieszczęśliwej ojczyzny. Wszak z Alt-Wasser pisząc donosiłem, że ten układ ostatecznie przyjętym został jeszcze w Kwietniu roku zeszłego. Nie przestając na tem, zgłosiłem się do P. Bruńskiego, kiedy on był w Brześciu, aby ostrzegł p. Szczęsnego (Potockiego), że Moskwa zupełnie porozumiała się z królem pruskim względem podziału Polski. Lecz Targowiccy tłumili wszystkich i upewniali, że mają najsolenniejsze zaręczenia całości granic Rpltej, lubo tego wyrazu w całej deklaracyi moskiewskiej nie widać, lubo w postępkach Moskwy każdy cokolwiek rozsądku mający mógł dostrzegać, że ona nie chce mieć Polski rządnej i całej, ale ją uważa jako za kraj spekulacyi do innych projektów. Jakoż gdyby Moskwa chciała całości i rządności kraju polskiego, dozwoliłażby takich absurdów, jakie się od samego początku widzieć dały, to jest: zrobić wprzód konfederacyę jeneralną, nim się zrobiły po województwach partykularne? Zrobić ją za krajem wcześniej i dać jej fałszywą datę dlatego, aby odpowiadała zamiarom deklaracyi i wkroczeniu wojska moskiewskiego do Polski i zrobić jenerała moskiewskiego hetmanem litewskim z woli narodu? nakłonić konfederacyę do przybrania na siebie całej powagi sejmu, a sejmu zwołania nie dopuścić? skłonić króla do akcesu, a potem go opuścić w sposób pełen urągowiska? Zirytować ludzi wojskowych, aby się oddalili? Wojsko podzielić na drobne konsystencye, obnażyć go z amunicyi, artyleryi i ducha dbania o swą sławę? Rozłożyć po całym kraju wojska rosyjskie, a Wielkopolskę excypować od tak uciążliwej lokacyi? Zatkać uszy na korzystne samej tylko Moskwie projekta, a bezprzestannie czynić wyrażenia, że Polska musi tem być, czem ją mieć zechce Moskwa? Ja nie rozumiem, jak tego p. Szczęsny nie mógł widzieć od samego początku. Co go tak daleko zaślepiło, że się niebezpiecznej dla swego sumienia a okropnej dla narodu podjął roboty? To naturalna konsekwencya, do której przyjść musiało. Trzeba było koniecznie Moskwie wystawić na czele człowieka takiego jak on, bo inaczej nie byłby naród zbałamuconym; trzeba jej było konfederacyi polskiej, bo wyraźna wojna Moskwy za jej interesem nie dałaby żadnego pretekstu królowi pruskiemu niedotrzymania aliansu; ale mogłaż Moskwa wejść do Polski bezkarnie, gdyby wprzód nie zaspokoiła chciwości pruskiej? Wyrzekano na tych, co mu chcieli za poprawę traktatu handlowego oddać Gdańsk i Toruń, a nikt nie pomyślał, że kiedy Polska nie ułoży się z nim o jego pretensye, Moskwa chcąc go odzyskać ułoży się z nim tak, jak on sam żądać będzie. Nie potrzeba już teraz apelować do przyszłości. Zbyt prędko odkryło się, kto pragnął zguby narodu. Jeżeli zemsta mogła na moment przynieść jaką nieczystą pociechę, przepłacić ją teraz brzemieniem goryczy i smutku, kto

postrzeże, że się podjął być narzędziem rozszarpania swej ojczyzny? Dopiero teraz podobno zobaczą Targowiccy, że się w takim samym stanie naleźli jak konfederacya radomska, co tamtym Car to tym Igielström, co tamtym Repnin, to tym Sievers rozkazywać będzie. P. Szczęsny miał bardzo smutny przykład w domu na własnym ojcu. Musiała być gwałtowną namiętność która go ośmieliła przedsięwziąć krok tak okropny i która go oddaliła od tych, co szczerze z nim ojczyznę uratować chcieli. Nie wiem, jakimi stopniami szły porozumienia z rodziną i dobrze myślącymi, nie wiem, co tego człowieka przywiązało do Moskwy. Wszak on na samym początku w liście do jenerała Müllera pisanym oświadczył się być przyjacielem Moskwy, kiedy jeszcze o konstytucyi 3 Maja nikomu się nie śniło. Oddalił się od robót sejmowych i od owej chwili zdawał się być przeznaczonym na zrobienie rewolucyi, gdy go Moskwa do tej roboty zawoła. Kto takowym sposobem krok za krokiem śledzić zechce serce jego, ten przyznać musi, że niepospolita namiętność przemogła nad nim, aby się stał przyczyną nieszczęścia ojczyzny a zgryzoty całego życia. Nieszczęśliwa korona elekcyjna, tentoć grzech pierworodny naszych magnatów, źródłem jest haniebnego upadku Polski i póki tylko w prawach naszych znajdować się będzie, choćbyśmy najlepszą formę rządu przepisali, zginiemy przez samą chciwość korony, która do tego punktu zaślepia magnatów polskich. Nie może p. Szczęsny mówić, żeby nie miał potrzebnych przestróg. Wszystko, co się zowie najhardziejsze w Polsce, uginało się przed nim, błagała rodzina, broniła go od początkowego prześladowania w sejmie, perswadował książe Adam Czartoryski, ja nie mając z nim żadnej bliskiej zażyłości, uwielbiałem go w pismach publicznych i wiele obiecywałem po jego cnocie. Posełano po niego do Jass, a mogę się pochwalić, żem długo wstrzymywał zapał sejmowy przeciw niemu. Cóż to pomogło? Ogłosił się marszałkiem, wszedł z wojskiem nieprzyjacielskiem, ucisnął cały kraj, przelał krew obywatelską i upodlił wojsko. Na cóż? żeby się stać narzędziem podziału kraju.“

(C. d. n.)

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

25.

Tak żyje Allan i tak młodość ludzi
Śpiewem, muzyką i mądrością siwą.
Lecz i w obłokach białych grom się budzi,
Darń kryje iskrę wulkanu straszliwą,
A w młodem sercu śpią takie pożary,
Których nie zgasi święty January!

Raz w dzień niedzielny, gdy lud tłumny spieszy
Do świątyń pańskich — z daleka od rzeszy
Allan, z gorącem po nad księgą czołem,
Z nieznaną przedtem burzą w głębi łona,
Czytał królewskie pieśni Salomona,
Symbol miłości Chrystusa z kościołem!
Och jakież słodkie usta król-poeta
Kładł na tę fletnię, co śpiewała Panu!
Pieśń ascetyczna — jak anachoreta,
Świeża — jak jędrna woń pszennego łanu,
Synogarlica iście rozpieszczona,
Pieśń nad pieśniami — ta pieśń Salomona!

„Oblubienico moja, jesteś piękna!
„Od twarzy słońca cudniejsze twe lice,
„A oczy twoje, jako gołębice,
„A włosy twoje jako z Galaadu
„Trzody kóz wełną skędzierzone czarną;
„Zęby twe — stado owiec, gdy się garną
„Z kąpieli każda do swojej macierzy,
„Z tych żadna sromu nie uczyni stadu,
„A skronie twoje wśród czarnych kędzierzy,
„Jak winnej łozy owoc granatowy;
„Jak dwoje bliźniąt-sarniąt gdy się pasą
„Między liliami — piersi twoje obie,
„Wszystkie swe skarby Pan wysypał tobie,
„Oblubienico moja, pyszna krasą,
„Pieśni twe hymnem najcudniejszym Panu,
„Pod twym językiem płynie miód i mleko,
„A kiedy przy mnie przejdziesz niedaleko,
„Wonność szat twoich jak wonność Libanu.“

Tu przestał Allan — bo już dzwony biły
Srebrzystym dźwiękiem, jak śmiechy dziewczęce,
Skryty za oknem, mdlejący, bez siły,
Młodzieniec stanął i załamał ręce,
Bezbronny całkiem w nieznanej mu męce,
Patrzał przed siebie martwy i pochyły
I w ranę swoją srogi palec wkładał
I porównywał ten swój świat podziemny
Z tym białym ludem, co szumiąc zapadał
Niby gołębi stado... w portyk ciemny...
Tam słońce lśniło, jak Pan wielki, hojne,
A w blaskach jego igrały, jak tęcze,
Orszaki pięknych kawalerów strojne,
Z ręką na szpadzie, z brzęczącą ostrogą;
Senackich lektyk złocone poręcze
Poważnie ciżbę przerzynały mnogą;
Wiewały wstęgi, kaftan aksamitny,
Tarł się o srebrne blachy pancernika
I tylko motłoch, starce i kobiety
Zakonny habit, doktorów birety,
Czerniały w pośród barw harmonii szczytnej,
Jak muchy w złotym tyglu alchemika;
Jęcząc żebraków rój wyciągał ręce,
Z świątyni płynąc kadzidła się wiły,
A organ huczał... a dzwony wciąż biły
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce...

Naraz się cały tłum zachwiał i schylił,
Jak zgięte wichrem ciężkie kłosy żyta
I jak padalec pękł na dwie połowy:
Środkiem szła z dumną powagą kobieta,
W prawicy niosła psałterz kolorowy,
Ogon jej szaty, jak wąż purpurowy,
W pieszczonych zgięciach zwijał się i pylił
Prochem posadzki, na schylone głowy;
Po płytach dźwięcznie tętniały jej kroki
Niańki jej śladem nakrywane pilnym,
Przeszła i zniknął czar ciszy głębokiej.
Tłum drgnął pochlebnym jej szmerem przychylnym,
Improwizacyi trysnęły potoki
Bogactwu, krasie i przymiotom gwoli
Tej pięknej córy męża z głosem silnym
W Radzie senatu — Bianki Foskoli.

A Allan patrzył martwy i pochyły,
Z gestem modlitwy wyciągając ręce
I słyszał: w uszach jego dzwony biły
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce.

I zdało mu się, że tam przy chrzcielnicy
Z ręką na szpadzie rycerskiej, a drugą
Z święconą wodą — kłoni się dziewicy
I na jej dłoni dłoń swą trzyma długo,
A święta woda wraca wrzącą strugą
Z jej palców w serce jego i zamienia
Duch jego w morze z miodu i płomienia.

Paląco słodko morze się to burzy,
I ze dna ciska perły i korale,
Lecz naraz z głębi jego się wynurzy
Smok i potwornie rośnie po nad fale,
Na szyi jego łańcuch i obroża:
To smok Pamięci z Namiętności morza.

I myśl młodzieńca w słup solny zastyga,
Patrząc za siebie jak Lotowa żona,
Na formę swoją spojrzy się i wzdryga,
Gotowa bluźnić niebiosom — szalona!
Potem po ziemi toczy wzrok i niebie,
Nieszczęsny, wszędzie widzi tylko — siebie!

Lecz znowu gieniusz fantazyi skrzydlaty
Zlewa mu w serce balsamy i kwiaty.
Młodość i miłość — dwie wróżki przemożne,
Kładą nań miękko ręce po kolei:
I w nocy serca w potęgę bogaty
Jak paproć czarów strzela kwiat nadziei.

Odtąd zaległy pyłem księgi stare,
Marną ich mądrość była dla Allana
I mistrz sędziwy ledwo daje wiarę,
Gdy próżno do drzwi swego ucznia puka:
On błądzi miastem do zmroku od rana
Za śladem Bianki — ściga ją i szuka...

Raz wreszcie, zda się, los go szczęściem darzy:
Gdy późną nocą pod Foscolich murem
Stoi z wejrzeniem jasnem, to ponurem,
Skrzypnęła furtka i z uśmiechem w twarzy
Pełnym tajemnic, wyjrzy niańka stara
I w cieniach nocnych zbliża się jak mara.

— „Cny kawalerze,“ rzecze, „znam twe troski
„I widzę kędy serce cię prowadzi,
„Zaufaj ninie słudze Matki Boskiej,
„Może cię wesprze a pewno nie zdradzi.
„Sinior, ty kochasz?“

— „Cicho!“ Allan rzecze,
Jakby raz pierwszy usłyszał to słowo!
I wiatr zaszumiał po nad ich rozmową.
Lecz widać było z ruchu rąk i głowy,
Niańka mówiła gorąco i wiele,
On słuchał drżący, senny, jak bez mowy,
Potem pistole brzęknęły srebrzyście,
Stara szepnęła:

— „Więc jutro w kościele
„Sam się przekonasz... a czekać nie wiele.“
I cisza. Tylko w sadzie drżały liście.

Och, ta noc krótka — jakże była długa!
A świt poranny — jak był dziwnie złoty!

Gdy mistrz Allana przybył doń w południe
Spotkał go we drzwiach tylko stary sługa.
Więc mędrzec usiadł i pełen tęsknoty
Czekał i księgi opylał sieroty,
A chwile ciężko biegły mu i nudnie,
Już ciemno było, gdy ktoś stuknął w bramę,
Wszedł do izdebki i padł ciężko w progu,
Jak potępieniec, bluźniąc Panu Bogu...
Allan!... Lecz rysy jego nie te same:
Zczerniałe, wpadłe; blask gołębi oka
Iskrami siana skryła noc głęboka.
Wstał, zarumienił się, jak zorza, krwawo
I schylił oczy w ziemię bez łez — próżne,
Potem położył na stół rękę prawą,
I rzekł do mistrza: — „Dała mi jałmużnę!...“
Tu dłoń rozkurczy i grosik się stoczył,
Mistrz wstał i ucznia rękę, którę zbroczył
Ściskając pieniądz, otarł krajem szaty,
Popatrzył chwilę, jak ta ranna dusza,
Za każdem drgnięciem rwała się na szmaty,
Dał mu do ręki — Marka Aureliusza,
Pokazał niebo — i wyszedł z komnaty.

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 22.)

Ale wróćmy do zaniechanego przedmiotu.

Rząd ogłosił oficyalnie śmierć cesarza Aleksandra I. Kapitanowie-sprawnicy, każdy w swoim powiecie, jeździli po obywatelskich dworach, i przyprowadzali do wierno-poddańczej przysięgi imperatorowi Konstantemu I. Ludowi kazano także przysięgać po cerkwiach. Wojska dopełniły tej ceremonii w pułkowych sztabach swoich; władze administracyjne w Soborach grodów powiatowych i gubernskich; żydzi, w synagogach. Konstanty, był tedy cesarzem Wszechrosyi! Od małego do wielkiego, wszyscy uważali go za swego prawego monarchę; a choć truchleli w obec tej nowej ery politycznej kraju, pogodzili się stopniowo z wolą przeznaczenia, i myśleć o tem przestali. W tem się znowu poruszyły ziemskie policye; znowu, rozbiegli się kapitanowie-sprawnicy po grodach i siołach, nagląc do wykonania powtórnej przysięgi, lecz innemu już monarsze... Mikołajowi! Obywatelstwo, dopełniło wierno-poddańczego aktu bez wahania się — bo cóż miało robić? Zdziwiony tą, tak rychłą zmianą panującego, lud pogwarzył trochę i pokiwał głową, ale skończył tem, że posłuchał perswazyi sprawników i popów swoich. Co do wojska, nie tak z niem łatwo poszło. Wierność żołnierska, niezwykłością faktu przerażona, długo się opierała rozkazom i namowom władz swoich, w przekonaniu, że ów Mikołaj, którego tak prędko po Konstantym carem obwoływano, nie był jej prawym monarchą, lecz uzurpatorem. Pamiętam, w jakiem z tego powodu był kłopocie jenerał Kalm [1]), w sąsiedztwie naszem z brygadą konsystujący. Gdyby nie to, że posiadał miłość żołnierza i szacunek, Bóg wie czemby się skończyło! Jenerał dywizyi Korniłow niemniej się namozolił w tłumaczeniu. Działo się to samo i w innych centrach wojskowej konsystencyi. Nie prędko zdołano przekonać żołnierza o prawdzie zrzeczenia się tronu przez Konstantego na rzecz Mikołaja. Drobniejsi spiskowi, których się jeszcze rząd niedomacał, a których niezraziło niepowodzenie, marzyli po dawnemu o zastąpieniu formy absolutnej w Rosyi, republikańską, za pomocą masalnego buntu armii przeciw nowemu panującemu, pod firmą wierności jego poprzednikowi, którego, zuchwały uzurpator (jak usiłowali wmówić żołnierzowi) więził w okowach, na dnie podziemnych lochów Piotro-Pawłowskiej fortecy w Petersburgu. Byłoby przyszło niezawodnie do rozruchów i nieszczęść ogólnych, gdyby przeważny wpływ starych jenerałów, i wysoka powaga naczelnego wodza armii hr. Wittgensteina, nie zapobiegły temu. Przyczyniła się także do utrzymania

---

*) Stał w Monasterzyskach na Ukrainie. Ożeniony był z Podoską.

porządku i nadzwyczajna czujność nowego rządu, sprężyście działającego w obronie bezpieczeństwa publicznego, a tem samem i swego własnego. Śledcza komisya, z najpierwszych dygnitarzy państwa złożona, najznakomitsze inteligencye jurydyczne i badawcze, w łonie swojem mieszcząca, pracowała gorliwie nad ekstyrpacyą najdrobniejszych fibr spisku, jakie się jeszcze w armii i narodzie ukrywały. Nacisk woli Mikołaja naglił jej działalność i dzwonek feldjegrów brzęczał nieustannie po kraju. Doprowadzeni do ostateczności spiskowi, czując się bliskimi upadku i zagłady, jęli się rozpaczliwego środka ratunku. Wmówili żołnierstwu carskiej gwardyi, żeby nie przysięgało na wierność Mikołajowi, albowiem popełniłoby ono zdrady prawemu swemu monarsze, którego zuchwały uzurpator więzi w podziemiach twierdzy. Wierność żołnierska była zatem najgłówniejszą sprężyną owego sławnego buntu 14. grudnia 1826 r. w Petersburgu, o którym rozwodzić się nie mam potrzeby, albowiem byłto fakt niejednokrotnie opisany, i nie ma takiego coby o nim nie wiedział. Mężna przytomność Mikołaja pokonała zamach straszliwy. Zagrzmiały kartacze. Newa uniosła ofiary. Pestel, Murawiew, Bestużew, Rylejew i Kochowski poszli na śmierć męczeńską. Krew inaugurowała nową polityczną erę w Rosyi. Mikołaj zasiadł na krwawym tronie.

Pamiętam, że kiedy wieści te doleciały do nas, przerażenie było wielkie. Źle wróżono o nowem panowaniu. Bano się nowego monarchy. I cóż dziwnego? W krwawej aureoli buntu i kary, wystąpił on na widownię świata. Pierwszym aktem jego władzy, były ciemnice i katorgi. Pierwszy głos, jakim przemówił do narodu, był wyrokiem śmierci. Cóż dziwnego, powtarzam, że postać Mikołaja, odbiła się złowrogo na tle niedawnej przeszłości, takiej pogodnej i cichej, pod berłem Aleksandra? i że hyperbolizując stosunek moralny tych dwóch monarchów, opłakiwano Aleksandra, jak Tytusa, lub Marka Aurelego, a drżano przed Mikołajem, jak przed Kaligulą albo Neronem?

Dzieło ekstyrpacyi spisku szło ciągle swoim torem. Rzadziej wprawdzie, chociaż zbyt często opadał miecz Damoklesa na winnych i niewinnych. Porwano z Iliniec doktora Plessla, najsłynniejszego lekarza w okolicy i bliską z domem naszym połączonego zażyłością. Żona jego, Izabella z Humnickich, piękna i zacna, była córą poczciwego gniazda, a rodzice jej graniczyli z nami o miedzę. W chwilach wolnych, Plessl, uprawiał, nie bez sukcesu, belletrystykę. Kiedy go uwieźli żandarmy, miał już na dokończeniu wolny przekład głośnej podówczas *Travestierte Eneide*, Blumauera, którę wierszem przepolszczył, tak samo, jak to uczynił Kotlarewski po małorosyjsku. Bliska zażyłość jego z Pestelem upoważnia mniemać że należał do pierwszorzędnych spiskowych, a śmierć jego potwierdza to mniemanie. Otruł się na stacyi pocztowej, Wecie, pod Kijowem. W tym czasie wzięto z domu naszego, majorów azowskiego pułku piechoty, Dreszerna i Białłozora. Porwano z Ładyżyna, zacnego Ludwika Sobańskiego, którego wdowa, Róża z Lubieńskich, żyje dotąd, czcią zasłużoną otoczona. Nagle wieść przebiegła po kraju o gotującem się ludowem powstaniu — o nożach jakichś i spisach, co kuli niby i toczyli wiejscy kowale, na lachów i żydów, w zamiarze odnowienia scen koliszczyzny, mordów hajdamackich i rabunku. Przeraziło się tą wieścią poczciwe nasze obywatelstwo. Alarm był okropny. Parweniusze zwłaszcza, gnębiciele chłopka *par droit de naissance*, potracili głowy ze strachu. Upakowali naprędce manatki swoje, i wynieśli się cichaczem do Humania pod opiekę władz wojskowych. Prąd ogólny uniósł tam i nas, chociaż nie mieliśmy powodu obawiać się ludu, bo nam sprzyjał sercowie. Co to było? wyjaśnić nie mogę. Nie podlega jednak wątpliwości że musiało być coś niedobrego w myśli mas ludowych, kiedy rząd, jakby zapobiegając niebezpieczeństwu, rozesłał po wsiach konne komendy, dla zachowania porządku i ochrony obywatelskiej własności.

Peryod tej emigracyi humańskiej, trwał, o ile sobie przypominam, z parę miesięcy. Natłok był niesłychany. Nie było wolnego kąta w żydowskiej mieścinie.

Pewnego dnia, doniesiono pani Starościnie horodelskiej, babce mojej, o deputacyi z kilkunastu najzamożniejszych gospodarzy złożonej, co przybyła do niej z majątku, i o posłuchanie prosi.

Przyjęto ją skwapliwie i serdecznie.

Poważni starce zaczęli od tkliwego pozdrowienia swojej pani. Potem przemówili w ten sposób:

— Czego tu siedzisz, w Humaniu, *myłostywa* Pani? Czemuś opuściła dom swój, i nas, dzieci twoich? Czy warto było wierzyć *brechni* złych ludzi, co nagadali tobie, że my, od stu lat przeszło wierni poddani wasi, i szczerze przywiązani do rodu waszego, knujemy zdradzieckie jakieś przeciw tobie zamiary? Gdyby się nawet i stało coś niedobrego w kraju, nie znalazłby się taki pomiędzy nami coby się powahał stanąć w obronie swojej, boś ty dobra pani nasza, matka i opiekunka. Wracaj zatem do nas! Wracaj bez obawy! Nie krzywdź nas podejrzeniem!

— Ja wam wierzę, dobrzy ludzie — odpowiedziała pani Starościna ze wzruszeniem — bo czemuż miałabym nie wierzyć wam, kiedy się do żadnej winy względem was nie poczuwam? Prosiłam tutejszego jenerała, żeby do moich majątków żadnej komendy nie posyłał. Łatwo z tego wnioskować możecie, do jakiego stopnia o waszej uczciwości jestem przekonana. Nie obawa tedy, przyczyną mojego tu pobytu. Przyjechałam do Humania, bo mię o to proszono. Lecz skoro tylko widzicie w tem krzywdę waszą, wrócę natychmiast do domu. Jutro, nie będzie mię już w Humaniu.

Poczem kazała ugościć uprzejmie deputacyę i pożegnała.

Tejże nocy, odjechali poczciwi posłowie do sioł swoich, wioząc wieść radością, że dobra ich Pani, powraca.

Rzeczywiście, nazajutrz rano opuściliśmy Humań, dążąc z powrotem do Luliniec. Dzień był prześliczny. Step sięgał daleko, świeżą zielonością traw swoich i zarośli. Bałki płytko wyżłobione, burzanem porosłe, snuły się tu i ówdzie, wygiętemi linie, rzekłbyś łożyska odwiecznych strumieni, niegdyś pełne ruchu i szmeru, obecnie milczące i smutne. Gdzie niegdzie majaczy kurhan zapomniany, lub drobny ostęp zdziczałej knieci. To znowu ciągnęła manowcem wałka czumaków ku dalekim wybrzeżom Euxynu. Czasami, migała trzoda na paszy — szczekał pies strażniczy — albo się pasterz na wierzbowej flecie dumką stepową odzywał. Rzadkie napotykaliśmy osady, lecz wszystkie swojskie, znajome, przyjacielskie. Naprzód, Leszczynówka, cicha oaza pustyni, gościnna siedziba szlachetnej rodziny Krechowieckich. Dalej, Bosówka, przedtem Sarneckich, później Tomaszewskich, drobne miasteczko nad jeziorem, po 1831 r. skonfiskowane, i zupełnie zniesione. Dalej, Ohrymowa, wieś ludna, bogata i głośna uprzejmością p. Marka Sarneckiego. Dalej, w nizinie, nad stawem, Baczkuryn, skromne gniazdeczko Humnickich. O werst kilka, milionowej wartości, Monasterzyska, pamiętne raną Stefana Czarnieckiego, i okazałe pałacem (z parkiem Miklera) gdzie bywało, p. Leon Podoski, chorujący na magnata, wyprawiał

sute bankiety i bale. Za Manasterzyskami, niedaleko, Frantówka, na kilka dzielnic podzielona, kilku posesorskimi kominami dymiąca, gościnna i poczciwa, ale nudna, nie malownicza, na płaskim stepie rozpostarta. Za nią ludne Podwysokie, przedtem Kłonowskich, później, marszałkowej, z Gruszeckich, Genowefy Dachowskiej, kobiety znakomitej taktem, rozumem i zacnością. Kiedyśmy wjechali do Bogdanówki, którę skąpstwo i oryginalność właścicielki, p. rotmistrzowej Wróblewskiej, z rodu książąt Czetwertyńskich, unieśmiertelniły, na Ukrainie, ujrzeliśmy liczny tłum wieśniaczy, który zatrzymawszy powóz nasz, powitał radośnie powracającą panią swoją. Była to gromada lulinicka, ze starszyzną na czele. Wyszła o całą werstę od sioła naprzeciw babki mojej. Mężczyźni byli w świtach świątecznych. Niewiasty i dziewki, miały stroje paradne, barwiste i malownicze. Konie ruszyły stępo. Gromada pociągnęła obok powozu, zawodząc chórem pieśni ukraińskie, rzewne i uroczyste. Już się ściemniało. Kiedyśmy wjechali do lasu, co stał zieloną ścianą po obu stronach drogi lulinieckiej, pełniej i dźwięczniej zabrzmiały akordy tych pieśni — a leśne echa wtórzyły im z głębi, jakby podzielając wesele dnia tego. Sędziwa matrona, dostojny przedmiot tej hołdownej owacyi, była głęboko wzruszoną. I mogłoż być inaczej? Dziękowała dobremu ludowi swojemu — błogosławiła — płakała. I ja, smarkacz, płakałem także — bo kogoż podobna scena nie rozrzewni? (C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

III.

Z powyższego wywodu okazało się, że Hellenowie byli szczepem aryjskim, nie stojącym już w najdawniejszych czasach na najniższym stopniu cywilizacyi, t. j. nie szukającym sposobu do życia jedynie w myślistwie i pasterskiej chodowli bydła, lecz zajmującym się już uprawą roli, że następnie Pelasgowie wypierani z Egiptu zajęli naprzód Kretę i inne wyspy helleńskie a potem i stały ląd helleński, dokąd też zanieśli i cywilizacyę Egiptu, że dalej pierwotne plemię helleńskie wzmogło się o tyle, że potrafiło zupełnie wyprzeć z Hellady Pelasgów i ziarno przez tych ostatnich na dziewiczej ziemi helleńskiej posiane, o własnych siłach pod dobroczynnym wpływem umysłowości swej, zamienić w owoce, jakie wydał helleński duch w epoce Platona i Aristotelesa. Aczkolwiek Hellenowie sami nie mieli świadomości o wspólności pochodzenia z ludami barbarzyńskimi jak Medami, Persami, Indami, to jednak przez cały ciąg swoich dziejów przechowywali oni u siebie to przekonanie, że wszystkie ludy helleńskie, mimo ich niezliczonych poddziałów, uwidocznionych w niezliczonem mnóstwie dyalektów, z których joński, eolski, dorycki i attycki piśmiennymi były, od jednego praojca pochodziły. To pokrewieństwo helleńskich ludów, wspólność mowy, bogów i religijnych obrzędów, a ostatecznie zwyczajów i usposobień, stanowiły, jak to już Herodot (*VIII 140*) zauważył, jedyny węzeł utrzymujący jako tako harmonijną jedność tego aggregatu ludów bez ładu i składu, jaki Hellada niemal przez cały bieg swej historyi przedstawiała. Niezawodnie ta niezawisłość pojedyńczych ludów, ba nawet pojedyńczych miast helleńskich, przyczyniła się wiele do rozszerzenia wolności, przez którę Hellada tak wysoko stanęła i stoi w dziejach ludzkości, lecz znów z drugiej strony prawie jedynie w tej odrębności szukać należy ostatecznej przyczyny upadku Hellady. Jak to już wyżej wspomniałem wolność i swoboda wzniosły Hellenów nad poziom innych ludów ówczesnych, podczas gdy znów pycha, zarozumiałość i sobkostwo, słowem brak wszelkiej miłości spowodowały upadek Hellenów, do tego stopnia, że i Demostenesa patryotyczne mowy stały się ostatecznie głosem wołającego na puszczy. To też słusznie dzieje Hellady nazwano dramatem na wielką skalę; one są istotnie dramatem zaczerpniętym z życia całego narodu, będącego podówczas sercem całej ludzkości i dlatego też jak dramat winien być dokładnem oddaniem i prawdziwym obrazem ludzkiego żywota, tak i dzieje Hellady przedstawiają jak najdokładniej i jak najprawdziwiej stan ówczesnego społeczeństwa, a poniekąd i dzisiejszego. Dla kogo człowiek sam w sobie jest alfą i omegą wszystkiej wiedzy, kto ze stanowiska, nie chcę powiedzieć materyalizmu i pozytywizmu, lecz chociażby tylko racyonalizmu, uważa za możebne obejść się bez wszelkiej metafizyczno-religijnej podstawy, bez tego światła i ciepła słonecznego, które w sposób tajemniczy i nie odgadniony na żywot ziemskich organizmów działa, dla tego żywot Hellady będzie ideałem wszelkiej doskonałości, ale... śmierć Hellady będzie dlań nie do odgadnienia zagadką, a tę rozwiąże tylko ten, kto przeciwstawiając się Heglowi i jego zwolennikom jak Buckle'owi, Draper'owi — wewnętrzno-duchową stronę człowieka, to jest głównie moralność, uzna za najgłówniejsze, a nawet za jedyne zadanie działalności człowieka na ziemi; ten zrozumie, że Hellada jak i całe klasyczne pogaństwo runęło, bo tam etykę chciano zastąpić polityką, bo tam nie chciano i nie umiano szanować praw jednostki człowieczej, która była, jest i na zawsze pozostanie podwaliną wszelkich organizmów społecznych. Jeżeli każdy człowiek z dziejów Hellady wiele korzystać może, to głównie pouczyłyby one tych polityków bezrozumnych, co bądź w złej, bądź w dobrej wierze, niby dla dobra ogólnopaństwowego ograniczają wolność jednostki człowieczej tak w sferze życia rodzinnego, jak i w sferze życia religijnego, kościelnego, — oni wszyscy pracują dla despotyzmu powszechnego.

Cechą pierwszej epoki dziejów historycznych Hellady była walka wszystkich z wszystkimi; nie tylko plemiona z plemionami, lecz nawet miasta sąsiednie staczały ze sobą boje, dopiero religia powstrzymała je poniekąd naprzód przez wprowadzanie rozejmów t. j. chwilowego zawieszenia broni celem wspólnego odbywania ofiar i innych obrzędów religijnych a zarazem także celem wspólnego bawienia się, a następnie przez zakładanie amfiktyonii t. j. stowarzyszeń, których członkowie wzajemnie zobowiązywali się do przyjścia sobie na pomoc, jeżeliby jakieś miasto odważyło się wspólną ich własność a zwłaszcza ich wspólne świątynie niepokoić. Posłowie miast

należących do amfiktyonii przysięgali przedewszystkiem w imieniu swych mocodawców, „że nie zniszczą żadnego do tej amfiktyonii należącego miasta, ani też nie pozbawią go płynącej wody"; przysięgę tę przechował nam Aischines (*Grote, l. c. t. I. str. 586*). Ta amfiktyoniczna wspólność przyczyniła się najwięcej do utrzymania tego poczucia wspólności pochodzenia wszystkich Hellenów od jednego praojca, ona też była przyczyną wytworzenia się w całej Helladzie jednych i tych samych obyczajów i zwyczajów. Aczkolwiek wielka istniala różnica między zwyczajami i obyczajami nieokrzesanych mieszkańców Arkadyi (*Polyb. IV. 17—23*) a zwyczajami i obyczajami grzecznych Ateńczyków, to jednak w przeciwstawieniu do innych sąsiednich ludow, napotykamy u wszystkich Hellenów niejaką wspólność w ich obyczajach i zwyczajach; tak n. p. w historycznej Helladzie nie było nigdzie ofiar z ludzi, wielożeństwa, umyślnych kaleczeń przez odcinanie nosa, uszów, rąk lub nóg, kastrowań, sprzedawania dzieci za niewolników, jak to miało miejsce u Kartagińczyków, Egipcyan, Traków, Persów; nigdzie w Helladzie nie uważano za coś sprośnego biegania nago do mety (*Her. I. 10. Tukyd. I. 6.*), podczas gdy inne ludy uważały to za wielką nieprzyzwoitość. Ten dobroczynny wpływ religii wypada w Helladzie tem więcej podnieść, ile że pod względem politycznym nie tylko nie było tam żadnej łączności, lecz przeciwnie jak największa wyłączność i odosobnienie do tego stopnia, że obywatel jednego miasta chociażby nawet tak rozległego, jakiem tylko wyjątkowo były Ateny, ujechawszy dwie lub trzy mile, już się znajdywał między murami innego miasta a więc w granicach innego państwa i był tam już obcokrajowcem, a jako taki bez szczególnego pozwolenia lub co najmniej bez interwencyi jakiegoś krajowca, nie mógł ani nabywać własności, ani zawierać związków małżeńskich.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

El-y. Poezye 2 tomy. Kraków 1872, nakładem Nowoleckiego. (Dok.)

Idziemy potem na ziemię włoską z tułaczem, któremu się zdaje na chwilę, że „nieświadomi wybrzeża, gdzie staniem, s p o c z n i e m y tu za nowem czekając świtaniem," ale to złudzenie, bo tułacz w piersiach nosi z sobą ojczyznę. Więc oto w zatoce Baja na cmentarzu przeszłych wieków rozpamiętuje życie jakby już po własnym pogrzebie, żali się, że ciemno na świecie; wśród rozkoszy i przy Falernu kielichach zjawia się towarzystwo duchów pomarłych, rozpacze, wspomnienia szczęścia i wyrywają się z piersi apostrofy do Polski, do życia: „w zawodów ciągłej kaźni, bez litości, bez bojaźni, w niebo wściekłą pięść podnosić"... i wreszcie „Na nowy rok," jakby tablica przykazań dla idących pokoleń:

Rozumu, niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości,
A Bóg nam stanąć pozwoli
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.
W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Praca bez mienia...

Wśród ciężkich zawodów dusza, którę stać na niewidomy heroizm, zapada nieraz w zniechęcenie, zdaje się poecie, ze nawet wspomnień słowiki do snu już się kładą, i tylko puchacz posępny szyderca słyszeć się daje. Ale wnet odradza się jak feniks, ratują go napomnienia matki:

O nie mów dziecię, nie,
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe,
Że trzeba wątpić i szydzić,
Pogardzać i nienawidzić
O nie mów dziecię, nie!

Na matkę wspomnij swą,
Na miłość co bez plam,
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą,
Wierz w piękność ducha słoneczną
I w miłość, która jest wieczną,
Na matkę wspomnij swą!

Przenosimy się potem w ojczyste strefy, w góry nad Dunajec; krajobrazy, miłość, sny i marzenia to tylko dolne slupy w gonitwie za ideałami; w „Marzeniu porannem" mistrzostwo formy doprowadzone do doskonałości, a w „Endymionie" pragnienie snu, spoczynku, kończy się prośbą o widzenie tryumfu:

Pokaż mi tryumf w przyszłości dniach
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięztwo jasne
Pokaż nim zasnę.

Pokaż, mi ciszę wschodzących zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne
Spokojny zasnę......

Więc poeta jako pijak musi pić z pełnego dzbanu fantazyi na przekór temu co go otacza, w sonetach uderza w pojedyncze tony na całej skali uczuć, aż się zdobywa i na staropolski humor, na satyrę w P r z e d p i e k l u, gdzie dyabli szlachcica wracają na świat, aby gardłował za utrzymaniem propinacyi.

Na tem kończy się tom pierwszy. Tom drugi zaczyna się narzekaniami — publiczność i poeci robią sobie nawzajem wyrzuty; daje tu poeta wyraz owej wiecznej antytezie objawów powszedniego kramarskiego życia — z światem ideałów. Lecz mylnie się zdaje poecie, że teorya: „tacy poeci jaka publiczność," jest wyczerpującym rzecz dogmatem. Prawda, i zacząłem sam od tego ten rozbiór, że artystę karmi jego czas — ale z drugiej strony świadomość i siła poety winna sięgać wyżej, i ścieżki powszedniego życia prowadzić dalej, na wyżyny wielkich celów — wtedy publiczność mimo woli po własnych ścieżkach za przewodem własnych poetów dojdzie tam, gdzie ginie antyteza.

Było to już i u nas i być może jeszcze. Nie myślę robić poecie zarzutu z tego tz. W e l t s c h m e r z u, który u niego dosyć często się pojawia, ani posądzać go, że staje się echem Byrona czy Heinego... bo zaprawdę któż może być więcej usposobiony do rozpaczy i wątpienia jak poeta Polak! I nie dziwię się, że w sonetach ze sceny świata maluje tylko dzieła udręczenia, na które się wszyscy patrzymy, żę nam maluje pobojowiska, straszne znęcania się nad trupami, które i Grotger malował, że go trwoży zagadka smutnych ludzkich losów — nie

dziwię się, lecz wolę poetę gdy w inne strony uderza. Wolę już przepyszne „Freski starożytne,“ w których jest klasyczny spokój, rezygnacya, ale i męzka niezłomność, w których Herkules uosabia walczący lud, wolę kiedy poeta pod stopami krzyża szuka w psalmie uspokojenia, albo w elegii za dziecinnym rajem się ogląda. Ale już najwdzięczniej brzmią inne, weselne tony: Przebudzona, która może trzymać się za rękę z Wiochną Lenartowicza, Różowa chwilka, w której cała natura promienieje uśmiechem i miłością; poważna Apoteoza sztuki i jej ofiarników; Z motywów ludowych, utwory, które są tem w poezyi z formy i treści, czem w muzyce mazurki Szopena; Kwiaty, w których przygody i refleksye w śliczne obrazki są dziergane; Album pieśni, pełne rojeń, drgnień i spowiedzi duszy i serca. Łąki, morza, góry mają kres i granice —

Lecz serce, serce człowieka
Wciąż w nieskończoność ucieka
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

i ciągle woła na człowieka głos: „idź dalej, idź dalej“.

Ten sam charakter ma „Mozajka“ z kilkudalszych pieśni, jest tam i cześć oddana Kraszewskiemu, a w prześlicznym wierszu „Wątpliwości“ oddana harmonia świata w obrazku miniaturowym, na który się składają strumień, kwiaty, dziewczę i młodzian — nic wiecej, a tyle tam uczucia, szczerości, barw i prawdy! Po przez wszystkie stacye cierpień przechodzimy wraz z poetą na otwarte gościńce:

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić,
Ból samowiedzę zdobywa,
Chcę cierpieć, kochać i żyć.

W tych słowach mieści się treść życia, dziejów, więc i treść tych dwóch tomów prawdziwej poezyi. Cóż nowego przynosi nam poeta? nic i wszystko. Nic, bo to echo życia, które znamy, bo wszyscy to samo czujemy i przechodzimy, bo inni już o tem samem pisali — wszystko, bo tu na każdym szczególe odbija się odrębna, oryginalna indywidualność, odrębny sposób przedstawienia, a forma taka misterna, wytworna, a harmonijna, że niezaprzeczenie za pierwowzór służyć będzie. Więc witając poetę, możemy na zakończenie przesłać mu tylko jego własne słowa: „idź dalej, idź dalej“...

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA. *Kuliczkowski Adam. Zarys dziejów literatury polskiej.* Lwów. Nakładem Karola Wilda 1872. Dzieło to doprowadzone obecnie do najnowszych czasów piśmiennictwa rozbierzemy obszerniej w swoim czasie.

HISTORYA. *Walewski Ant. Historya wyzwolonej Rzeczypospolitej wpadającej pod jarzmo domowe za panowania Jana Kazimierza* (od r. 1655—1660). Tom II. Kraków. Drukarnia Uniwersytecka 1872. Z dołączeniem 88 tablic dokumentów. Niniejszym tomem dzieło jest ukończone.

— *Walewski Cypryan. Jan Łaski, reformator kościoła, wiadomość historyczno-bibliograficzna.* Warszawa. Józef Berger. 1872.

— *Olendzki dr. W. M. Teorye polityczne* XVI *wieku, poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich.* Poznań J. K. Żupański 1872. Dzieło to jest pierwszym tomem pracy zakreślonej na wielki rozmiar noszącej tytuł: „*Historya nauk politycznych od wieku* XVI *do najnowszych czasów.*“

ARCHEOLOGIA. *Łuszczkiewicz Władysław. Zabytki sztuk pięknych Krakowa. I. Pomniki architektury od* XI *do* XVIII *wieku ze stanowiska historyi sztuki.* Kraków. Paszkowski 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. *Ekonomika przemysłowa, szereg odczytów w Stowarzyszeniu politechnicznem w Paryżu, ułożył A. N.* Warszawa. Pajewski 1872. W języku francuzkim zebrał te odczyty od lat wielu w zakładzie wymienionym miewane pan Ewaryst Thévenin, a teraz wychodzą w starannie dokonanym przekładzie polskim. Wszystkie działy ekonomii społecznej są tu bardzo znakomicie reprezentowane pracami J. Garniera, Baudrillarta, Horna, Batbiego, Lewasseura, Duvala, Wołowskiego, Courcelle-Seneuille'a, Passy'ego itd. Wydawnictwo zasługuje na rozpowszechnienie.

TEATR. (*Br. Z.*) Przedstawienie 4-aktowego dramatu J. Korzeniowskiego: „*Dziewczyna i dama*“ (w Piątek d. 30 z. m.) na *scenie lwowskiej* dało nam poznać utwór dramatyczny z młodocianej zapewne ery tego pisarza, bo noszący na sobie wszystkie piętna tworzyciela młodego, ognistego, pełnego siły w zarodku, nie opartego jeszcze na prawdzie życia, marzącego postacie i kolizye, któreby miały swą racyę bytu, umieszczone na innem tle i mniej jaskrawą malowane barwą. Wyradza się z tego niedoświadczenia życiowego wiele niepodobieństw, fałszywych założeń i nieuzasadnionych zwrotów, zarówno w powiązaniu intrygi, jak w charakterystyce. Daleko sięgającym skutkom podłożone zbyt błahe i kruche podwaliny, prądom duszy kazano szybować po takich przestworzach, które są jej wstrętnymi lub wręcz niemożebnymi. Zaślubiny hr. Zbickiego ze wstrętną i cyniczną kokietką nie mają psychicznej podstawy. Garbus upośledzony przez naturę, zapoznany w uczuciach, zgorzkniały w osamotnieniu życia a mimo to pragnący miłości i ogniska cichego, w któremby mógł jeszcze przemarzyć smętne pasmo ostatnich dni, czy może zaślubiać, biorąc rzecz logicznie, wietrznicę, którą zna do gruntu, którą pogardza, i u której nie może się spodziewać ciepłej duszy? Jeżeli w tem ma być psychologia, to fałszywa, jeżeli to ma być wygrany zakład z przyjaciółmi, to stawka za wielka—bo życie! Sztuka obfituje w sytuacye poetycznie pomyślane, ale na tle salonu niemożliwe, chyba na łonie natury, charaktery przesadne, kokieterya pani Adamowej wysnuta z wątka nazbyt śmiało zadzierzgniętego, w kompozycyi wiele niedostatków. Pokrywa to jednak wszystko pomysł zarówno artystycznie jak obyczajowo szlachetny, owa dążność okazania kontrastów uczucia w salonie a na poddaszu, dykcya zawsze zajmująca, obrazowa i bogata treścią. Pani Nowakowska (pani Adamowa) policzyć może tę rolę do swych najudatniejszych; cynizm i brak serca połączyła bardzo wdzięcznie z udaną sentymentalnością i pełną elegancyi kokieteryą. Jej kontrastem była panna Deryng (Kasia) wlewająca w tę postać takie bogactwo serca i taką wzniosłość cnoty, jaka jest właśnie tylko na poddaszu; a p. Linkowski (hr. Zbicki) celował grą spokojną, rzewną, wolną od wszelkiej, krótkowidzącej przesady. P. Kwieciński (Karol) artysta sympatyczny i uzdolniony w rolach trzpiotów i lekko uczuciowych, zawsze jeszcze zmuszony jest grywać na własną szkodę role wymagające wysokiej ogłady i wytwornego tonu. Warto było tę sztukę zresztą wystawić z większą starannością i nie zmuszać też kilku młodziutkich i zastraszonych pokojówek do udawania wielkich dam, do parodyowania... salonu. — Wczorajsze przedstawienie 5-aktowej komedyi J. Korzeniowskiego: „*Majątek albo imię*“ nie powiodło się należycie. Pani German (Aniela Bydgowska) pojęła i wykonała tę delikatnie pomyślaną postać za trywialnie, a w niektórych ustępach np. w scenie ze Starzyckim nie grała, ale raczej dowcipkowała w płaski sposób nienaturalną przesadą tonu i ruchów. Pan Dobrzański (Hrabia Janusz) miał parę chwil udatnych, ale w ogóle gra była za bladą, nie wyczerpującą wszelkich odcieni charakteru, a deklamacya z początku raczej skandowaniem, niż dyalogiem. W roli Basi Szumskiej debiutowała po raz drugi panna Lewicka. Nie pojmujemy, jak dyrekcya mogła dawać artystce, okazującej do ról wyłącznie naiwnych wysoki talent, role silnie uczuciową lub rozlewającą się w tyradach. Jest to chyba chęć skrzywienia już w zarodzie — najpiękniejszego talentu. Kiedy też obaczymy już p. Linkowskiego w roli Romea? Po wszystkiem na co patrzymy, sądzę, żeśmy do tego bliscy... Kończąc rzecz, nie umiemy dość pochwał dobrać dla p. Podwyszyńskiego (Wincenty Starzycki) za grę pełną serdecznej werwy i staropolskiego ciepła.

ROZMAITOŚCI. P. *Wacław Gasztowt*, autor drukowanej w naszem piśmie rozprawy: „O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,“ mianowany został profesorem w *Collége Chaptal.*

NEKROLOGIA. † *Lech Nowakowski*, najulubieńszy artysta naszej sceny, zmarł d. 4 b. m. w 39 roku życia. Cześć jego charakterowi i jego zasługom artystycznym!

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.